

SAM NA SCENIE

Gazeta Festiwalowa Turnieju Teatrów Jednego Aktora
60. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego

Słupsk 5 czerwca 2015 nr 2/2



Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam jest jej ciało...

Natalia Stolarska „Ciemno prawie noc”
reżyseria: Anita Pawlak Zygmata

Ciemność. Salę wypełnia mocny, kobiecy głos, śpiewający niby to kołysankę, niby ludową myśl. Słowa pieśni przenoszą nas powoli w historię. Tym zabiegiem Natalia Stolarska w swoim monodramie – opartym na powieści Joanny Bator „Ciemno prawie noc” (laureatki Nike z 2012 roku) – tworzy kłamrę scenicznej opowieści. Opowieści pełnej napięcia i niedopowiedzenia, pełnej sprzeczności i rozedrgania – jak bohaterka uzewnętrzniająca się na deskach teatru.

Natalia nie jest sama na scenie. I nie do końca jest dla nas. Bohaterka monodramu – dorastająca dziewczyna, już prawie kobieta, swoją opowieść snuje do, symbolizowanej przez dziecięce łóżeczko, młodszej siostrzyczki. Ta, która przecież nie może zrozumieć sensu wypowiedzianych przez siostrę słów, jest niemym świadkiem makabrycznych wydarzeń. Nie do końca nazwanych, omijanych, budzących odrazę (również do siebie) i strach.



fot. Natalia Zduniak

Rozliczenie się z prawdą przychodzi. W tym aktorce pomaga światło, świetnie wykorzystane na wielu płaszczyznach. Maluje momenty, w których bohaterka odnajduje się głęboko w sobie, obnaża się przed nami z każdej swojej myśli lub kiedy ucieka przed tym, czego nie może znieść – przemocy ze strony chorej umysłowo matki; tej psychicznej, jak i fizycznej.

Typowym syndromem skrzywdzonych dzieci, towarzyszącym im, jak piętno przez całe życie jest popadanie w skrajności. Często obarczanie winą siebie, chorobliwe utożsamianie się z oprawcą. Bohaterka wchodzi

w dorosłość. Z marzeniami, kochając. Wciąż jednak przekroczenie poprzedniego etapu jest dla niej niemożliwe: ciąży na niej piętno skrzywdzonej i wyszydzanej ofiary, wariatki. Piętno odczuwane przez nią i dostrzegane przez jej otoczenie: podobieństwo do matki, którego nie może się wyzbyć.

Natalia zręcznie rozwinęła temat spektaklu – słowem i ciałem. Bardzo żywy ruch na scenie, nieokiełznane, a w finale poruszająca puenta – skrycie się w kołysce; odpowiedziało nam, że kobieta, którą widzimy na scenie, jest w dalszym ciągu skrzywdzonym dzieckiem, mimo usilnych prób ratowania siebie.

Milena Szabat

Gorzki cukierek

Irena Tkaczyk „Zimna ściana”
scenariusz i reżyseria: Aneta Ćwieluch

Krzyk. Niewysłowiony, nieznanujący słuchacza. Rana. Jątrząca się, bolesna, nieskończenie głęboka. Tabu. Skrywane latami, pod płaszczem ignorancji, piekielka rodzinnej „kołdry”. Wstyd. Zakryty długą spódnicą, pod którą ustawicznie sięgają brutalne łapska żądz.

„Zimna ściana” to historia z gatunku tych niewypowiedzianych. Po dwakroć. Nie chce się o nich mówić, nie chce się słuchać, bołą zbyt bardzo. Ponadto nie wolno o nich mówić. Burzą porządek, zagładają, tam gdzie zazdrośnie strzeże się prywatności. Cała armia hipokrytów: matek, babek, ciotek, wujków, dziadków i ojców nie pozwala. W imię chorego rozumienia idei rodziny, bronią dostępu do sfery świętej. Choćby z tej świętości śmierdziało najgorszym zepsuciem.

Przecież nie może być tak, źle. Przecież to się nie mogło stać. Taki dobry człowiek. Wykształcony, odcytany, na stanowisku. Dobry ojciec. Cóż z tego, że potwór, gwałciciel, przecież chodzi do kościoła.

Wszystko w tej opowieści jest wstrętne. Kato-tata, matka, która nie umie, albo nie chce przyznać prawdy i ochronić swych dzieci. Otoczenia ślepe na wszystko, co wykracza poza własną tępotę i ignorancję. Wstrętne jest już nawet ofiara w swej bezradności, w swym uprzedmiotowieniu, czyniącym z niej jeszcze łatwiejszą zdobycz. Obrzydliwa jest powtarzalność tego świata, tworzącego jakąś chorą normalność wokół straszliwej zbrodni. Dziedziczność tej traumy, zdolność potwora do zaszczepienia „genu bezbronności” następnemu pokoleniu niewinnych dzieci, oburza i woła o krzyk.

Podane jest to w tonie publicystyki. Reportersko, dzień pod dniem, rok po roku. Bez zakończenia, którego się domagamy. Bez winy, bez kary, nawet bez aktu oskarżenia.

W spokoju tej opowieści, skonstrastowanym z tematem domagającym się wycia, bez wątplenia tkwi siła spektaklu. Jednocześnie narracja zdaje się czasem płynąć bezwiednie, wiedzona niejako własnym językiem, zwłaszcza w momentach domagających się podkreślenia i większego zaangażowania środków scenicznych.

Bezsprzecznie jest to monodram obok którego nie da się przejść obojętnie. Wymaga tego powaga tematu i zaangażowanie twórcy. Wymagają tego bez wątplenia nasze sumienia. Jednak teatr rządzi się swoimi prawami. Scena bywa bezlitosna. Nawet najlepsze sprawy zginąć tam mogą, zabite przez braki w dykcji.



fot. Natalia Zduniak

Maciej Swornowski

Kamyczki

Alan Kwiecień „Kamienie”

scenariusz, reżyseria: Alan Kwiecień i Janina Młynek

scenografia: Janina Młynek



fot. Aleksandra Kalista

Książki Doroty Masłowskiej od długiego czasu cieszą się nieśląbną popularnością wśród czytelników, były wielokrotnie adaptowane i wystawiane na najlepszych scenach teatralnych w Polsce. Dlatego nieuniknionym było, że spektakl oparty o jej twórczość zawita w końcu nad Słupię. Stało się to dzisiaj, drugiego dnia Sam na scenie anno Domini 2015, za sprawą Alana Kwietnia, który jako bazy do swojego monodramu użył „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało czerwoną”. Aktor wcielił się w postać Silnego, w adaptacji filmowej granego przez Borysa Szyca, którego wyglądem chyba wzorował się Alan (oczywiście oprócz fryzury).

Przez cały czas trwania spektaklu nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że monodramista świadomie i celowo utrudniał widowni

odbiór przedstawienia. Bo cóż innego mogłem pomyśleć skoro cały spektakl grany był w kierunku do podłogi, albo głębi sceny, a kiedy w końcu nastąpiły momenty, gdy mogliśmy spojrzeć na Alana w całej okazałości, to nagle pół twarzy zakrywała mu, opadająca z uporem maniaka, grzywka. Mam jednak nadzieję, że wynikało to nie z chęci uprzykrzenia życia publiczności, ale zwyczajnie z braku doświadczenia aktora, który tym monodramem debiutuje na trudnym polu teatrów jednego aktora. Ponadto należy zwrócić uwagę, że „Kamienie” to przedstawienie „półautorskie”, reżyserowane przez Alana i Janinę Młynek. Tak więc po raz kolejny potwierdza się złota zasada, że bardzo ważnym dla początkujących (i nie tylko) artystów scenicznych jest zewnętrzne oko, jakim jest reżyser, który potrafi ocenić trafność i celowość środków wyrazu. W monodramie Alana zabrakło mi też głębszego rozwinięcia tematu. Co więcej, odniosłem wrażenie, że zanim ten spektakl dobrze się zaczął, to już zgasły reflektory i rozległy się brawa. Miałem ochotę na zdecydowanie więcej.

Nie można jednak skreślać tego przedstawienia, ponieważ ma on walor, bardzo duży walor. Jest nim sam Alan. Dzięki swojej charyzmie istniał na scenie i powodował, że publiczność z uwagą śledziła jego poczynania na deskach. Wierzę, że to dopiero początek jego owocnej, teatralnej przygody. Przy sowitej dozie pracy, z biegiem czasu, rzucony dzisiaj kamień, przeistoczy się w całą lawinę scenicznych uniesień.

Michał Studziński

Ł jak miłość

Dominik Mironiuk „Tytyt”

scenariusz, reżyseria, scenografia: Małgorzata Kowalczyk

Inicjały, w mieście z inicjałem. Tajemniczy ludzie. W całkiem nieokreślonym, abstrakcyjnym, uniwersalnym, wszechobecnym, internacjonalistycznym - Mieście Ł. Wszyscy oczywiście wiemy, że mowa tutaj o Łodzi. Boje, jakie toczył z urzędnikami Miasta Ł., Tomasz Piątek, autor powieści, na której oparto przedstawienie „Tytyt”, trafiły do mediów, zatem trudno raczej mieć wątpliwości – co poeta miał na myśli.

Zwłaszcza, że przestrzeń, w której umieszczono bohaterów dramatu, jest dość łatwa do zidentyfikowania. Marne robotnicze kamienice z czerwonej cegły. Zbudowane z pośpiechem, którego wymagała rozwijająca się metropolia. Manchester Wschodu owiany złą i dobrą legendą, znaną choćby z „Ziemi Obiecanej” Reymonta. Miasto, gdzie realizował się kapitalistyczny sen bogaczy i zaczynał się kapitalistyczny koszmar biednych. Miasto fabryka, które wyrastało na gruzach postfeudalnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Szybko dobite przez I Wojnę Światową, zmasakrowane przez II i przejęte w spadku przez Polskę Ludową z całym bagażem tej parodii modernizacji, jakim był PRL.

Mieszkanie przyfabryczne, ciasna kłitka dla rodzin robotniczych, dająca minimum egzystencji czyli szczyt marzeń w początku XX wieku. W Polsce, przeoranej obiema wojnami, to minimum przesunęło się trochę niżej, podnosząc za to poziom ciasnoty. Co dawnej starczało dla jednych teraz należało do wielu. Rozwiązanie prowizoryczne, więc jak każda prowizorka na wchód od Odry, trwa w najlepsze. Nie tylko w Łodzi, w każdym Mieście Ł.

Wspólnota ludzi, zmuszonych do życia razem, oddzielonych od siebie jedynie cienką ścianką pokoju. Do tego wspólnota ludzi biednych, roszczeniowych, katolicko-polsko-nienawistnych ale bezsilnych. Słabych wobec formalnej rewitalizacji, faktycznej gentryfikacji, która po raz kolejny udowodni, że minimum można przesuwac bez końca. Jednak niektórzy przetrwają wygnanie. Ci lepsi, bardziej robotni niż bezrobotni, pasujący do odremontowanych murów. Zarazem jednak zawieszani między nowym i starym. Wewnętrznie wstrętni i pozornie piękni.

Najciekawsze jednak, że „Tytyt” nie jest tylko opowieścią o trudach polskiej modernizacji. Jest historią miłości. Dziwnej, złej i dobrej zarazem, naznaczonej zepsuciem ale jednak miłości.

Twórcą dramatu należą się brawa za odważny dobór materiału do spektaklu. Za po-



fot. Iwo Bochat

szukiwanie opowieści trudnej i niejednoznacznej, wyłamującej się z szablonów i klisz. Brawa należą się też Dominikowi Mironiukowi za zmierzenia się z rolą niełatwą, wymagającą dojrzałości, o którą niełatwo u tak młodego aktora.

Maciej Swornowski

Szukając siebie...

Joanna Lewoc „Trzymając się za ręce”

scenariusz: Joanna Łupinowicz

reżyseria, scenografia, opracowanie muzyczne: Mirosława Krymska

Teatr to sztuka, która łączy w sobie wszystkie inne. Arsenal środków i feeria możliwości. Jest jednak taki środek, który w teatrze przyjmę prawie zawsze i jest nim pieśń, pieśniczka, piosnka, piosenka... a jeśli zdarzy się kołysanka, to ja osobiście jestem już zaczarowana. Może jestem naiwnym widzem, ale to zawsze nastroja, urzeka.

Właśnie tak urzeczona poczułam się na początku spektaklu „Trzymając się za ręce” na podstawie powieści Romy Ligockiej „Dobre dziecko” w wykonaniu Joanny Lewoc. Historia jakich w teatrze wiele i nic w tym dziwnego, bo teatr jakby był do takich właśnie historii predestynowany (przynajmniej na początku aktorskich poszukiwań): lęk, odrzucenie, poczucie osamotnienia i pytania, pytania, pytania. Najczęściej te nasze tylko, że wypowiedane ustami aktora, stojącego na scenie. Można się za tym dyskretnie schować. Przerobić kawałek swoich lęków świadomych, bądź nieświadomych, pochlipać cichutko w kącie, w bezpiecznym mroku widowni, przypomnieć sobie swoje dzieciństwo, wczesne lęki, obawy te poważne i te dziś już śmieszne. Zastanowić się nad tym, jaki to wszystko miało wpływ na nasz współczesny kształt? Jak wpłynęło na sposób postrzegania rzeczywistości?



fot. Iwo Bochat

Jeśli popatrzeć na historię, opowiedzianą przez Joasię w ten sposób to stanowi ona naprawdę niezwykłą wartość, bo otwiera podwoje naszej podświadomości. To co mnie zastanawia, to pytanie na ile świadome były to poczynania i czy aby nie dopowiadam sobie filozofii do opowiedzianej historii - wierzę, że nie, ale skąd w ogóle te podejrzania? Być może stąd, że aktorka nie była gotowa do wielu emocji, które musiała, z racji założeń scenariusza, opowiedzieć nam, nazwać, wyrazić. Chcę wierzyć, że Joasia nadal szuka środków by zmierzyć się z przeżyciami swojej bohaterki. Takie miałam wrażenie. I dobrze, bo najgorzej to mieć lat naście i poczucie, że już się znalazło, że dokonano się już dzieła stworzenia. Żartuję troszkę, a troszkę nie. Aktorka wrażliwa, a to przecież cenne więc i ja, z wrodzoną sobie wrażliwością, odczytuję i doceniam jej pracę i wysiłek, ale zachęcam też do dalszych poszukiwań.

Szukaj Asiu wytrwale i nie martw się, gdy czasem, gdzieś po drodze zgubisz te sandały ze swojej kołysanki. Odrobina szaleństwa otwiera nam przestrzeń na nieznanie i pomaga uruchomić to, co w nas głęboko schowane. Zrzuć sandały Aśka! Wbiegnij odważnie i boso w te swoje poszukiwania - warto! Trzymam kciuki!

Magdalena Płaneta

Pokora i tylko pokora

Stanisław Bożek „Rozmowa...”

scenariusz, reżyseria: Stanisław Bożek i Arkadiusz Szosta



fot. Emilia Treszczyńska

Teatr Rondo, środek dnia, za oknem słońce. Spektakl. Wchodzę. Na scenie samotnie siedzi człowiek, piękny w swej prawdziwości, emanujący czymś niepospolitym. Myślę „Ot! Prawdziwek!” - w moim osobistym, teatralnym żargonie to jedno z największych pochlebstw. Nie tylko myślę, że Prawdziwek, ale i mówię to półgłosem do mego redakcyjnego kolegi. Kolega odpowiada: „zobaczmy, poczekaj”. Patrzymy zatem i słuchamy w skupieniu, bo aktor istotnie ściąga na siebie całą naszą uwagę. Ze sceny zaczynają płynąć słowa. Nie tylko ważne, ale i piękne, bo pióra znakomitego Leszka Kołakowskiego. Słuchamy „Rozmowy z diabłem”. Autora mogłabym pochłaniać bez końca więc zaczynam mieć podwójną radość. Prawdziwek mówi do mnie ładną polszczyzną, używając wytrzymałych pauz, daje mi czas na

refleksję. I oto z radością odkrywam, że jestem na jednym z tych przedstawień, na których nikt mi nie każe w ekspresowym tempie myśleć i nikt nie wyciska ze mnie na siłę, w tym samym ekspresowym tempie, dzikich emocji. Odpocznę, podumam - dobrze.

Niestety, w pewnym momencie czuję, że zaczynam się niepokoić, i to o dziwo o bezpieczeństwo aktora na scenie, a nie o dramaturgię przedstawienia. W pewnej chwili, refleksyjnego spektaklu aktor wdrapuje się na stolik. Jako, że widzimy, iż ta szlachetna i piękna istota, z którą obcujemy od kilku minut jest osobą niedowidzącą zaczynamy drzeć o jego zdrowie. Nie dlatego, że niedowierzamy świadomości ciała aktora tylko dlatego, że ewidentnie z kilku powodów nie było to bezpieczne.

Przez parę długich lat pracowałam z osobami o różnym stopniu niepełnosprawności i wiem, że stać ich często na wiele więcej niż osoby sprawne w pełni, ale też trzeba dobierać te środki ekspresji czujnie i z rozwagą, a potem rzetelnie je wyćwiczyć. Nie twierdzą, że panowie nie ćwiczyli, lecz wiem, że można aktora tak prowadzić, by wyświetlić wszystko to, co w nim najdoskonalsze, a schować to co kłopotliwe. Nie tylko dlatego, iż tak jest uczciwiej, ale widz nie powinien się bać o jego bezpieczeństwo. Czasem być może wystarczy zaproponować kostium mniej inwazyjny i ułatwiający zadania, które stawia się przed aktorem. Co innego gdy moment grozy to zamierzony efekt, ale w tym wypadku, w moim odczuciu, nim nie był i naprawdę się bałam. Nie o los bohatera, a o zdrowie pana Stanisława Bożka.

„Pokora i tylko pokora” mówi swemu szatańskiemu rozmówcy nasz bohater. To samo

mówi potem widzom, pokazując nam nasze lustrzane odbicie (i słusznie), a ja apeluję o to samo do wszystkich teatralnych twórców. Pokornie i czule pochylajmy się nad tworzywem, z którego dane nam tworzyć - tym bardziej jeśli jest nim wspaniały, najprawdziwszy człowiek wraz z całą swoją cielesnością.

Magdalena Płaneta

Nie wiem, co będzie...

Aleksandra Ambrozik „Elementy proste”
scenariusz, reżyseria: Anna Maśka

Zostałam zaskoczona już na samym początku monodramu, kiedy to z ciemności wyłoniły się, nie jedna, a dwie sylwetki. Tą drugą, była lalka... Aleksandra popisała się dobrym warsztatem aktorskim, wyobraźnią sceniczną, a także umiejętnością animowania.



fot. Aleksandra Kalista

Warto tu zaznaczyć, iż sama lalka dawała ogrom możliwości, poprzez jej plastyczność, ruchome palce, a także spory rozmiar, imitujący rzeczywistą istotę ludzką. Te możliwości zostały bardzo dobrze wykorzystane, przez co uczestnicze udało się uzyskać efekt autentyczności obecności drugiej osoby w formie jedno-teatralnej, którą jest monodram. Pozwoliło jej to również na unikatową interakcję animatora z lalką.

Tym sposobem publiczności zostały przedstawione trzy główne wątki, a interesującym było, że każdy utrzymany był w zupełnie innym nastroju. Pierwsza z trzech jednoaktówek była bardzo sensualna. Ciepłe światło i delikatny

śpiew nadały jej onirycznego charakteru. Sprawne lawirowanie tematem sprawiło, iż widzowie dobrze poprowadzeni zostali poprzez wielowątkowy spektakl; słuchali w skupieniu, śmiali się i aktywnie reagowali. W odbiorze całości przeszkadzały mi jedynie przekleństwa, które nie współgrały do końca z postacią, prezentowaną na scenie.

„Ukraina nasz sprawa? Kurwa wasza mać”. Ostatnia jednoaktówka: kontrowersyjna i wzbudzająca wiele mieszanych emocji, poprzez poruszenie trudnego tematu wojny oraz nawiązanie do współczesnych dramatów politycznych rozgrywających się tuż obok... u naszych sąsiadów. Na pewno skłoniła niejednego widza do refleksji na temat tego co jest - a co nie jest naprawdę ważne, dla każdego z nas z osobna.

Spektakl zakończył się piękną klamrą. Dwie już nie czarno-białe, a białe-czarne postacie zniknęły nam z oczu, poruszając się razem do spokojnej melodii kołysanki. Po zostawiając nas w zadumie, po całym tak barwnym wachlarzu emocji, którymi uraczyła nas Aleksandra.

Maria Krętkowska

Lubię tęsknić

Agnieszka Górka „Niebieski ptak”
scenariusz, reżyseria: Dominika Migoń

*Wspinać się po poręczy dźwięku i koloru
w usta otwarte chwytać zapach zmarznięty.*

Monodram Agnieszki Górskiej, oparty na twórczości poetyckiej i prozatorskiej Haliny Poświatowskiej, doskonale ilustruje wszystkie cechy twórczości poetki. Lekkość, figlarność i chmurność (typowy dla kobiet dualizm) bohaterki monodramu porywa od początku. Mimo, że tkwi ona głęboko w wykreowanym przez siebie (z pokreśleniem wyłączości: dla siebie i ukochanego!) świecie.

Bazę monodramu stanowi przede wszystkim opowiadanie „Niebieski ptak.” Poświatowska napisała go w odpowiedzi na relację z Jerzym Kosińskim, który zdawał się nie odważać w pełni uczuć poetki. Agnieszka Górka wykreowała swoją sceniczną postać, składając ją głównie z rozmarzenia, wytęsknienia i wypatrywania tego jedyne, tego który ją określał, stwarzał. Na tyle mocno, że wypełniał scenę równie mocno, jak aktorka, mimo, że istniał jedynie w słowie.

Nie bez powodu ukazująca się nam piękna, młoda dziewczyna do białej sukni przywdziewa czarny welon. Prosty i czytelny znak, tworzy całkiem sensowną klamrę. Agnieszka całkiem świadomie wychodzi do widzów ze swojego pokoju, w którym snuje większość opowieści, strojąc się na przybycie wymarzonego. Zwraca na siebie



fot. Aleksandra Kalista

uwagę, przechodząc przez granicę scena – widz. Czuję, że dzięki temu miałam możliwość wniknięcia do intymnego świata, zawartego we frazach, dotknięcia cudzych marzeń, doświadczyłam tego, co zazwyczaj dane mi jest odczuwać w momencie czytania wierszy (czy to Poświatowskiej, czy innych zakochanych kobiet).

Bohaterka wpadająca ze skrajności w skrajność, żyjąca w oczekiwaniu i niepewności. Od żartu do rozpacz. Mała dziewczynka, która staje się kobietą tylko przy swoim mężczyźnie. Nie przestaje żyć nadzieją mimo odrzucenia. I świat, który z determinacją buduje w marzeniach, zaczyna istnieć mocniej od rzeczywistego.

„Naprawdę można kochać tylko raz?” – pyta bohaterka. Raz... Ale za to jaki!

Milena Szabat

JESTEM SZAKALEM

Maria Czaplewska „Hm, hm”
scenariusz, reżyseria: Maria Czaplewska



fot. Grzegorz Boroszko

*Przed trudnym zadaniem
Postawiony zostałem
Dwa tysiące znaków
Napisać tutaj miałem.*

*Wyżej sobie poprzeczkę
Podnieść zarządziłem,
Wszystko w dwóch zdaniach
W tytule wyraziłem.*

*(rymy częstochowskie - za to
lwo Marię przeprasza -
Mówię prosto - co język
Podpowiada a gęba ogłasza)
Oniemiałem z zachwytu -
Na przekór cenzurze
Napiszę zajebiście
Nie pozwolę - nikt mi
Tego nie wykreśli
oczywiście.*

*Zgodnie z kolegą M.S.
Myślmy, że:
logika krzaczasta
Lecz nowa siła
z tego
Wyrasta.*

*Niech żadne siwe głowy
Tego nie niszczą
Świeczkę w kulisie niech
Pałą i nad swoim
Z zachwytu niech piszczą.*

*Dobłą energię widzę i czuję
Może czasu i nauczyciela Maria
potrzebuje?
Warto, warto, mocno, życie!
Być sobą, to jest Marii
najpiękniejsze odkrycie.*

PS

*Nauczyciela może?!
Hm,hm ... pomyśleć zawsze warto
Żeby do przodu dalej jechać
Niczym autostradą A2,
Jeszcze Pustą i
nowo otwartą
Nauczyciela? Owszem,
ale nie siwego
Na nowe i żywe mocno otwartego*

Iwo Bochat

Omówione, Zastyszane

Natalia Stolarska, „Ciemno prawie noc”

Stanisław Miedziewski: „Skupiłem się na symbolice, nie na ekspresji aktorki.”

Jan Zdziarski: „Bohaterka przeszła długą drogę. Zaczęła mocno, bardziej nie można było.”

Wiesław Geras: „Muzyka na żywo zadziałała.”

Irena Tkaczyk, „Zimna ściana”

Wiesław Geras: „Bałagan na scenie.”

Stanisław Miedziewski: „Forma to płaszcz okrywający treść. Zabrakło mi tego ciała.”

Jan Zdziarski: „Zapowiadało się wiarygodnie. Później miałem wątpliwości. Za dużo tego wszystkiego.”

Alan Kwiecień, „Kamienie”

Jan Zdziarski: „Nie obeszło, nie dotknęło.”

Wiesław Geras: „Czekałem na ten spektakl, bo Masłowska, bo legenda.”

Stanisław Miedziewski: „Sam dla siebie, ze sobą, ekshibicjonizm. Planeta jaką jest Masłowska nie zaistniała.”

Dominik Mironiuk, „Tytyt”

Stanisław Miedziewski: „Podobał mi się do połowy, potem się rozminęło.”

Jan Zdziarski: „Bardzo ciekawy głos. Umiejętności aktorskie.” „Społecznie ważny temat.”

Wiesław Geras: „Krzesała: rewelacyjny pomysł.” „Można było szybciej dojść do puenty.”

Joanna Lewoc, „Trzymając się za ręce”

Jan Zdziarski: „Pełne prostoty, pięknej naiwności.” „Problem na miarę młodej dziewczyny.” „Wygrała skromność.”

Stanisław Miedziewski: „Szczerość. Wołanie o kontakt, o dotyk.” „Dobry finał. Wzruszyłem się.”

Wiesław Geras: „Poruszył mnie. W pełni akceptuję.”

Stanisław Bożek, „Rozmowa...”

Stanisław Miedziewski: „Jestem całym sercem za tym przedstawieniem. Mocne, poetyckie. Słychać dialog w milczeniu.”

Wiesław Geras: „Czekałem na ten spektakl. Bardzo głęboki.”

Aleksandra Ambrozik, „Elementy proste”

Wiesław Geras: „Intuicja cię nie zawiodła.”

Jan Zdziarski: „Dobra wyrazistość artykulacyjna.” „Lalka żyła.”

Stanisław Miedziewski: „Poetyckość tego przedstawienia osiągnęła pewną sferę dzięki lalce, przez sprawność animacji.” „Mocna obecność.”

Maria Czaplewska, „Hm, hm”

Jan Zdziarski: „Dziecięcość. Szeroko otwarte oczy na świat. Wcale nie udawany, szczery.”

Stanisław Miedziewski: „Organiczność. Żywotność.”

Spisała: Milena Szabat



Dorota Landowska „Jordan”
fot. Emilia Treszczyńska

Redakcja

Redaktor naczelny: Maciej Swornowski

Redaktorzy: Iwo Bochat, Maria Krętkowska, Magdalena Planeta, Milena Szabat, Michał Studziński

Kierownik działu fotografii: Emilia Treszczyńska

Fotoreporterzy: Iwo Bochat, Grzegorz Boroszko, Natalia Hurec, Aleksandra Kalista, Natalia Zduniak

Opieka merytoryczna: Jadwiga Girsza-Zimna

Organizatorzy



Zadanie współfinansowane ze środków i przy wsparciu rzeczowym



Patroni medialni



Partnerzy



Zadanie dofinansowane ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

